

№ 44 Rok XIX.

Dnia 17 (29) Października 1898 r.



# WIECZORY RODZINNE



NA DZIEŃ ZADUSZNY.

Biały anioł cicho zleciał i duszyczkę czystą  
Na swem łonie ponad ziemię uniósł w dal srebrzystą.



## W DZIEŃ ZADUSZNY.

W dzień smutnych wspomnień, w ten dzień żałoby,  
Światło i kwiecie niesiem na groby;  
Więc i ty dziecię złóż rączki małe,  
O wiekiutą światłość i chwałę,  
Módl się wraz z tymi, którzy dziś płaczą,  
Choć nie wiesz jeszcze, co te łzy znaczą.

Tobie ten cmentarz jarzący, złoty,  
Nie sprawia jeszcze gorzkiej tęsknoty,  
Dla ciebie barwne — żałoby kwiecie,  
Lecz gdy wśród grobów grób ujrzysz, dziecię,  
O który nie dba ręka niczyja,  
To zmów serdecznie „Zdrowaś Maryja!”

Z. M.

## BEZ PRZEWODNIKA.

KARTKA Z ZAKOPANEGO.

(Dalszy ciąg).

— Ja myślę, że musimy jutro wracać.  
— Ty myślisz, ty zawsze myślisz, ty tylko myśleć umiesz. I po co powrócimy, jeśli ich w domu niema? A kto wie, gdzie poszły dalej? Może na węgierską stronę? Może za tydzień wrócą? A my lećmy z powrotem na złamanie karku, żeby się dowiedzieć w końcu, że o paniach nic nie wiadomo. Niechbym wiedział przynajmniej, że wrócą za trzy dni, tobym poszedł na Rysy, na Mięguszowickie i byłbym jeszcze na czas, a tak...

— To wiesz, Janku, idź z Felkiem na Rysy, a ja sam wrócę jutro i będę pilnował. Bo ktoś powrócić musi, a jeśli masz ochotę należeć do tej wycieczki, to zostań. Zdążysz jeszcze w sobotę.

Janek spojrzał na brata, chciał coś odpowiedzieć, ale tylko ruszył ramionami i milcząc, rzucił się na łóżko.

Na drugi dzień wstał pierwszy. Właśnie słońce weszło, różowe chmurki unosiły się ponad jeziorem, które leżało ciche i majestatyczne, wielkie i poważne pod strażą olbrzymów.

Janek obudził brata.

— Patrz — rzekł z płonącym wzrokiem.

Obaj stanęli w oknie i długo, długo patrzyli na ciche fale i błękitną głębię, w której z dziwną wyrazistością odbijały się otaczające ją góry.

— I wracamy — rzekł wreszcie.

Tadzio zaczął się ubierać. Wkrótce wyszli z hotelu.

— Powracamy przez Liliowe.

— Przez Liliowe? Znasz drogę?

— Nie myślę wечно chodzić tą samą drogą. Mam Eliasza i dam sobie radę? A cóż nam się stać może? Ludzi pełno wszędzie, gdybyśmy zblądzili; zresztą Eliasz wystarczy.

— Wiesz, Janku, jabym radził...

— Nie pytam cię teraz o radę. Chodźmy stąd jak najprędzej, bo chcę uniknąć pytań Felka, Ańdzy etc. Skoro

będziemy sami i wolni od towarzystwa, przeczytamy uważnie, którędy iść trzeba, a tymczasem, aby z hotelu...

— Aby pogoda była — zauważył Tadzio. — Patrz, jakie białe chmury snują się po górach.

— To sucha mgła — dał się słyszeć obok głos górala — z tego deszczu nie będzie.

— Widzisz — zawołał Janek. — Chodźmy tylko.

Sucha mgła tego ranka zasnęła dolinę w niezwyklej obfitości, strzępy jej porwane czepiały się po skałach i gałęziach świerków, a niekiedy przejrystymi mgławicami spływały między drzewa aż ku ziemi, zasłaniając na chwilę widok.

— Słońce to wszystko rozproszy, gdy się podniesie wyżej — zrobił uwagę Janek.

Tadzio nic nie mówił. Skręcili w dolinę koło Miedzianego, podług Eliasza tedy właśnie droga.

Słońce jednak widocznie miało też kłopot z mgłą suchą, bo napływała zewsząd coraz większymi kłębami, wiła się, snuła, staczała, pękała i znów zrastała w jedną nieprzejrzaną masę, coraz grubsza, ciemniejsza.

— Janku, ja się boję deszczu — odezwał się Tadzio nieśmiało, przedzierając się przez Kosówkę.

— Deszczu się boisz? No, to mi nowina; nie wiedziałem, żeś z cukru.

— Ale nie znamy drogi.

— To sobie przeczytamy.

— Kiedy nie poznać nie można. Widzisz jakie szczyty? Nic nie widać, w jakiż sposób będziemy się oryentowali?

Janek uważnie spojrzał dokoła. Istotnie, zalewało ich morze mgły zewsząd. I nic nie było widać, nawet droga kończyła się o kilka kroków.

— Musimy tu przeczekać — odezwał się głośno. — Jesteśmy w chmurze, ale chmura minie i znów słońce zaświeci. Usiądźmy tymczasem, masz co jeść?

— Mam butelkę wina, trochę szynki i chleba. Myślałem, że w Roztoce zjemy porcję jajecznicy.

— Trzeba było nie myśleć, tylko zabrać więcej zapasów.

Tadzio w pokorze wysłuchiwał nagany.

— Dajno chociaż Eliasza.

Tadzio podał książkę.

— Zdaje się, idziemy dobrze, doliną za Mnichem powinniśmy dojść prosto do Wrót Chałubińskiego, poznamy je z opisu, żeby tylko mgła się rozeszła.

Usiedli na Kosówce, z mimowolną trwogą patrząc na zbliżające się ku nim bałwany chmur; wkrótce zaledwie mogli widzieć jeden drugiego.

— To minie — pocieszał Janek.

Istotnie, po dłuższej chwili mgła zaczęła przeświecać, podnosić się w górę, ujrzeni znówu najbliższe kamienie, świerki, lecz dalsze plany zlewały się całkiem z szarem, bezbarwnym niebem. Deszcz drobny padać zaczął.

— Wróćmy się — szepnął Tadzio.

— Janek zmarszczył czoło.

— Do Morskiego.

— Chodźmy drogą ku Roztoce. Znamy ją.

— Kiedy się boisz — zaczął Janek po namyśle.

I niechętnie iść zaczął drogą, którą przyszli. Deszcz padał coraz większy, serdaki przemokły im wkrótce, obuwie rozmiękło także, ruch rozgrzewał ich jednak. Młodość niewiele robi sobie z niepogody, to też zaczęli śpiewać dla dodania sobie humoru:

Wysokieście góry, wysokieście szczyty,  
Oj, kto was przewędrował, góral rodowity.

— Nie pamiętam która droga: w prawo czy na lewo?

— W prawo — zdecydował Janek.

— Powinniśmy już widzieć Mnicha.

— Co dziś w tej mgle zobaczysz?



— Żeby tylko gdzie Zosi nie zaskoczyła w górach.  
 Janek spojrzał na brata zsuniętymi brwiami, ale roz-  
 pogodził się zaraz  
 — Mają przewodnika, rzekł uspokojony.  
 — To prawda, ale zmoknie.  
 — Deszcz tatrzański nie szkodzi, nie dostanie nawet  
 kataru.  
 — Patrzo, Janku, z tej góry nie schodziliśmy  
 przecież?  
 — Tak ci się zdaje, musieliśmy ją obejść.  
 — To może inna droga?  
 — Przez tę mgłę wszystko się zmienia, ale szliśmy tę-  
 dy napewno.  
 — Nie przypominam sobie — szepnął Tadzio.  
 — Ostrożnie, bo ślisko bardzo, po korzeniach nie stą...  
 Tadzio skamieniał: Janek krzyknął krótko i zsunął się  
 jak kamień po wilgotnej ziemi, na szczęście niedaleko, lecz  
 prosto w kałużę.  
 — Wróćmy się — zaczął Tadzio, wzruszony stanem  
 garderoby brata. — To nie ta droga, zbłądziliśmy.  
 — Więc prowadź.  
 Wkrótce wiedzieli obaj, że zbłądzili: szli jakąś drogą,  
 zupełnie nieznana, zalaną wodą w miejscach równych, na po-  
 chyłości pokrytą grubym, ostrym żwirem, który zsuwał się  
 razem z nimi. Rozmiękle i pokrzywione obuwie dokuczalo  
 im bardzo, deszcz przemoczył ubranie do bielizny, a droga  
 jak zaklęta wila się bez końca.  
 Janek ustał nakoniec, oparł się o drzewo, z którego  
 popłynęły nań strumienie wody i przymknął oczy.  
 — Napij się wina — rzekł Tadzio, podając mu butelkę.  
 Pił chciwie, długo. Wreszcie podał bratu.  
 — A ty nie pijesz?  
 — Nie jestem spragniony  
 — Cóż pocniemy?  
 — Która godzina?...  
 — Wpół do drugiej.  
 — Przeszło sześć godzin idziemy.  
 — Aby gdzie zejść przed nocą. Zimno będzie.  
 Wstrząsnął się, przejęty dreszczem.  
 — Jesteśmy na ścieżce, więc musi nas gdzieś dopro-  
 wadzić.  
 — Masz słusność — zawołał Janek — póki jesteśmy  
 na ścieżce, niema powodu rozpaczać, wyjdziemy choć na jaką  
 hałą czy schronisko.  
 — Byle przed nocą — dodał Tadzio.  
 — Do nocy daleko. Posilimy się i odpocniemy, to  
 nam i siły wróca.  
 Na nieszczęście nie wiele było tego posiłku: trochę  
 szynki i chleba głód zaspokoilo, ale niezbyt gruntownie,  
 a zapasu już nie zostało żadnego. Popili po łyku wina, żeby  
 mieć trochę na rozgrzanie, bo przez wilgotną odzież chłód  
 czuli coraz dotkliwszy.  
 — W którymkolwiek idziemy kierunku — odezwał się  
 Janek — zrobiliśmy porządną kawał drogi i musimy być blisko  
 jakiejś ludzkiej osady. Chodźmy tylko, bo zimno.  
 I szli wytrwale, nie zważając na kamienie, brnąc  
 przez kałuże, zsuwając się po pochyłościach lub wdzie-  
 rając na strome skały. Aby prędzej. To tylko bieda, że  
 droga dość często dzieliła się na ścieżki, i wybieraj, którą  
 wolisz! To znowu zdawało się, że już noc zapada, tak cięż-  
 kie chmury przesuwały się nad ich głowami. Ani widać  
 słońca.

(d. n.)

## STO LAT TEMU NAD NILEM.

(Dokończenie).

Natychmiast prawie po przybyciu zaatakował armię tu-  
 recką i w ciągu trzech godzin pobił ją doszczętnie, wpędzając

do morza lub biorąc w niewolę tysiące Turków. Sam Mus-  
 tafa-Pasza złożył szablę do rąk Murata. Tak więc przez wy-  
 prawę do Syrii i bitwę pod Abukirem, Egipt został oswo-  
 bodzony na długo od zwierzchnictwa Porty Otomańskiej.  
 Ten żyzny kraj stał się prowincją francuską, która mogłaby  
 zeń z czasem ciągnąć nieobliczone korzyści. Bonaparte do-  
 konał swego dzieła, należało je tylko prowadzić dalej.

Tymczasem losy tego kraju w XIX wieku inaczej się po-  
 kierowały.

Bonaparte nie wiedział nic o tem, co się dzieje we Fran-  
 cyi. Wysłał więc parlamentarza do floty tureckiej aby pod  
 pozorem układów, co do wymiany jeńców, starał się poznać  
 jakieś wiadomości. Admirał angielski Sidney Smith, zmiar-  
 kowawszy, że Francuzi nic nie wiedzą o porażkach swych  
 współziomków we Włoszech i o kłopotach Dyrektoryatu,  
 przez złośliwość dał parlamentarzowi całą paczkę gazet eu-  
 ropejskich, które Bonaparte chciwie przeczytał i natychmiast  
 postanowił dla ratowania kraju odpłynąć potajemnie do Fran-  
 cyi, choćby narażając się na schwytanie przez Anglików.

Zdał więc naczelne dowództwo w ręce generała Kle-  
 bera i sam z kilku adjutantami odpłynął nocą 21 go sierpnia  
 1799 r z Aleksandryi na fregacie Muiron. Szczęście i tym  
 razem mu sprzyjało, gdyż uniknął statków angielskich i wy-  
 ładował bez żadnych przeszkód w przystani Trejos niedaleko  
 Tulonu.

Tak się zakończyła wyprawa do Egiptu. Napoleon pra-  
 gnął koniecznie zatrzymać kraj ten dla Francyi, zajęty jed-  
 nak ciągłymi wojnami na stałym lądzie, nie mógł tego doko-  
 nać. Dzielny Kleber został wkrótce zamordowany na ulicy  
 w Kairze przez jakiegoś Turka, a wojsko francuskie w ciągu  
 dwóch lat powróciło do Francyi.

Egipt stał się znowu prowincją turecką, zarządzaną  
 przez Mameluków. Jednakże wyprawa Bonapartego wpłynę-  
 ła nader dodatnio na ludność miejscową, a Europa cała zwró-  
 ciła uwagę na ten piękny, bogaty i tak ciekawy kraj.

Wice-królowie Egiptu zdołali w ciągu bieżącego wieku,  
 rozszerzyć znacznie granice państwa na południe z biegiem  
 Nilu, oraz uwolnić się prawie zupełnie z pod władzy sułtań-  
 skiej, nosząc oni obecnie tytuł khedywów i płacąc tylko haracz  
 Porcie, będąc zresztą zupełnie niezależnymi.

Przeprowadzenie kanału Sueckiego w 1860-1870 latach  
 powiększyło jeszcze bardziej znaczenie Egiptu, wzmogło ruch  
 handlowy, przemysłowy i rolniczy.

Obecnie kraj ten jest miejscem licznych wycieczek, podró-  
 żnych z różnych stron świata, których ściągają niezmiernie suchy  
 i zdrowy klimat oraz nadzwyczaj ciekawe i liczne zabytki sta-  
 rożytnych czasów: piramidy, świątynie, obeliski i t. p.

W roku 1880 południowy Egipt i prowincje sudańskie  
 zostały podbite przez miejscowe plemiona mużułmańskie, zwa-  
 ne derwiszami. Skupił ich w jedną całość jeden z szejków,  
 a ogłosiwszy się za proroka (Mahdi), począł rządzić z nad-  
 zwyczajną dzikością i surowością. Zdobywszy Chartum nad  
 Nilem, osiadł tam jako w stolicy, prześladowając wszystkich Eu-  
 ropejczyków i chrześcijan, których zdołał zabrać w niewolę.  
 Kilkakrotne wyprawy Anglików i Egipcyan pozostawało bez  
 skutku, wojska ich cofać się musiały przed bitnemi hufcami  
 derwiszów. Dopiero po śmierci pierwszego Mahdiego, w tym  
 roku, udało się Anglikom pod wodzą Kitchenera-paszy zdo-  
 być Chartum i Omdurman, i doszczętnie zniszczyć siły der-  
 wiszów.

Obecnie więc na całej przestrzeni tego rozległego kraju,  
 wzdłuż Nilu, tej najdłuższej rzeki na świecie, zaczyna się bez  
 przeszkód rozszerzać cywilizacja europejska, której pierw-  
 sze nasiona po długich wiekach rzucił przed stu laty Napo-  
 leon Bonaparte, nie spodziewał się jednak, że dzieło to popro-  
 wadzą najzaciętsi jego nieprzyjaciele, Anglicy.



# W OBŁOKACH I POD WODĄ

WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

(Ciąg dalszy).

## VII.

### Wśród lodowców.

Profesor postarał się zatrzymać biesiadników przy stole do godziny 9-ej; gdy potem wyszli na pokład przyznać musieli jednogłośnie, iż obietnica Karlińskiego nie była czezem

— Tak, był to widok zachwycający — odparł profesor — myślę jednak, że równie czarować nas będzie widok słońca podbiegunowego i zorzy północnej. Ale czy nie uważacie panowie, że zimno zaczyna być coraz ostrzejsze i mgła gęsta napływa? Gdybyśmy się w ciągu nocy dostali między dwa takie lodowce, to nawet trwałość „Latającej Ryby” nie uchroniłaby jej od zniszczenia.

— Jakimże sposobem zaradzisz temu, profesorze?

— Dwa na to widzę sposoby — odparł zagadniony — możemy spuścić się na dno morskie, ale i ono w tem miejscu zasłane być musi również bryłami lodowemi. Pewniejszym tedy środkiem jest wzniesienie się w nieruchome warstwy powietrza i tam noc spędzić spokojnie.

— Godzę się na nocleg w górnych strefach, śpi się w nich doskonale — rzekł baronet — radbym tylko wiedzieć, o jakich to warstwach powietrznych nieruchomych wspominaś, profesorze?



WIDOK WSPÓCZESNEGO KAIRU.

słowem. Wspaniały widok przedstawił się ich oczom: po morzu pływały lodowce od drobnych bryłek, mających nie więcej nad dwa lub trzy sążnie obwodu, do olbrzymich gór lodowych, ciągnących się na  $\frac{1}{2}$  do  $\frac{3}{4}$  mili, a piętrzących się na 200 lub 300 stóp w górę nad powierzchnię morza. Skośne promienie zachodzącego słońca, odbijając się o te bryły, nadały im pozór gorejących płomieniem skał na tle blado-różowego horyzontu.

— Niezrównane!

— Prześliczne!

— Czarujące!

Takie wykrzykniki wrywały się z ust podróżnych, zachwyconych tą wspaniałą grą światła.

— Wdzięczny ci jestem, profesorze — odezwał się baronet — za daną nam sposobność oglądania tak cudownych zjawisk natury. W ciągu podróży moich napatrzyłem się na wiele ciekawych rzeczy, ale nie widziałem nic, coby mogło iść w porównanie z widokiem, jaki mieliśmy teraz przed oczyma. Chyba już nie wspanialszego oglądać nie będziemy w świecie podbiegunowym.

— Wiecie panowie — odparł Karliński — że istnieją w powietrzu dwa prądy peryodyczne, podobnie jak prądy morskie i z tej samej powstające przyczyny, a mianowicie cieplejsza atmosfera unosi się w górę, a chłodniejsza opada. Powietrze pod równikiem, rozgrzane silnie, unosi się w górę i ciągnie ku północy, powietrze zaś oziębione z pod bieguna dąży w odwrotnym kierunku, aby zająć tworzącą się próżnię. Stąd o kilka stopni na północ od równika, wierzchnie warstwy powietrza posuwają się w stronę północną i dosięgają mniej więcej 30° szerokości północnej, utraciwszy zaś w drodze dużo ciepła w skutek stopniowego oziębienia, opadają na dół. Prąd ten idący od równika, dąży ciągle ku północy, wznosząc się lub opadając, stosownie do swej temperatury; od bieguna zaś zupełnie oziębiony i mroźny leci dalej ku równikowi, jako prąd biegunowy. To samo się dzieje na półkuli południowej.

Tym sposobem istnieją na dwóch półkulach dwa prądy atmosferyczne: jeden idący od równika do bieguna, drugi od bieguna do równika. Niższy z tych dwóch prądów, płynący nad powierzchnią ziemi, napotyka na razie przeszkody i ule-



ga różnym wpływom, które kierunek jego zmieniają, czasem wsteczny bieg przybiera. Tym gwałtownym zmianom nie ulega kierunek prądu wyższego. Łatwo jednak zrozumieć, że tam gdzie się łączy spodnia warstwa wyższego prądu z górną warstwą prądu niższego, istnieje pewna równowaga i spokój. W tych to warstwach spokojnego powietrza, znajdującego się na wysokości od 3,000 do 12,000 stóp nad ziemią, proponuję spędzić noc dzisiejszą.

Słuchacze podziękowali profesorowi za udzielone objaśnienia i powrócili do kajuty, starannie drzwi zamykając dla niedopuszczenia zimna. Podniesiono następnie „Rybę” do wysokości 8000 stóp i przepędzono noc w tak cichej i spokojnej atmosferze, że nazajutrz statek znalazł się prawie w tem samem miejscu, co wczoraj.

bałwany biły w górę, jak wśród najstraszliwszej burzy. Niebezpieczeństwo było wielkie i należało w tym celu podnieść statek o kilka sążni ponad rozchukane morze. Zaledwie to uczyniono, gdy runęła największa z gór lodowych, pociągając za sobą mniejsze lodowce.

Płynąc ciągle ku północy, podróżni ujrzeli nareszcie około południa brzegi Grenlandyi. Przedstawały się one jako wzgórza pokryte śniegiem z połyskującymi, jak srebro wierzchołkami. W miarę zbliżania się do lądu, coraz mniej spostrzeżano się łodu, a wody kanału, do którego podróżni wpłynęli, czyste były zupełnie. O godzinie 8-ej wieczorem, żeglarze nasi znaleźli się na wysokości koła biegunowego, o północy przepłynęli obok wyspy Disko, podziwiając wspaniały widok północnego słońca, dotykającego tarczą widnokręgu.



ATAK DERWISZÓW NA ARMIE ANGIELSKĄ POD OMDURMANEM.

Podczas śniadania podróżni urządzili, aby dopłynąć morzem do najdalszego dostępnego i wolnego od lodów punktu. Posuwali się ostrożnie, z szybkością nie przechodzącą sześciu mil na godzinę z powodu wielkiej ilości brył i gór lodowych. Powolna jazda byłaby może przykrą dla ludzi nawykłych do wypraw podbiegunowych, ale dla naszych podróżnych wszystko było nowością, najbardziej zaś zaciękały ich owe góry lodowe, do których zbliżali się właśnie.

Dwie z nich były tak blisko siebie, że przepłynięcie między niemi zdawało się nader niebezpiecznem. Profesor i jego towarzysze zajęci byli rozstrzygnięciem kwestyi, jaką drogę obrać należy, gdy naraz jeden z wierzchołków lodowca, w odległości 250 stóp od nich, oderwał się od podstawy i z łoskotem straszliwym runął w wodę. Coraz nowe odłamy z hukiem przerażającym spadały z lodowców. W powietrzu rozlegał się łoskot trącających się i rozpryskujących brył;

W tem miejscu kanał oblewający brzegi Grenlandyi, zwęzał się tak dalece, że podróżni posuwać się po nim mogli tylko z szybkością trzech mil angielskich na godzinę; z tej powolnej jazdy korzystali wszakże, aby się dokładniej rozejrzeć po świecie podbiegunowym.

Traf zrządził, że nie spotkali dotąd żadnego okazu fauny polarnej, teraz dopiero ujrzeli daleko od strony północnej białego niedźwiedzia, dążącego w ich stronę, w pobliżu zaś inne zwierzę, które wzięli za cielę morskie. Wygrzewało się na słońcu, rozkoszując ciepłem, nie przeczuwając grożącego niebezpieczeństwa.

Pułkownik z młodzieńczym zapałem pobiegł coby prędzej po strzelby, a wróciwszy już zaczął celować do cielęcia morskiego, gdy baronet, trzymający w ręku lunetę, zawołał:

— Nie strzelaj Leithbridge! to coś osobliwego! To cielę ma łuk!



Pułkownik z niedowierzaniem spojrział na towarzysza, a wzięwszy z rąk jego lunetę, przypatrywać się zaczął uważnie.

— Masz rację, do licha — zawołał — mniemane zwierzę musi być człowiekiem. To Eskimos! Widzicie jak biedak ostrożnie naciąga na łuk cięciwo. Zdaje się, że umyślnie ruchami naśladował ciele morskie, aby przywabić drapieżne zwierzę! O! wypuścił strzał, ale nie trafił niedźwiedzia. Teraz uciekać musi przed nieprzyjacielem. Słowo daję, gonitwa ta zaczyna mnie zajmować. Wątpliwa rzecz, czy Eskimos zdoła ująć pogoni rozdrażnionego zwierzęcia.

Człowiek, mimo krępującego go ubrania, uciekał zwinnie, ale niedźwiedź biegł prędzej jeszcze i miał już rzucić się na swą ofiarę, gdy myśliwi na statku chwycili za broń i strzelili. Niedźwiedź draśnięty tylko nieszkodliwie stanął już na tylnych łapach, Eskimos, jakby na to właśnie oczekiwał, skoczył w bok, a potem ruchem szybkim, jak błyskawica, zatopił nóż w cielsku zwierzęcia; ten z wściekłości i bólu wydał straszliwy ryk i runął na śnieg.

— Brawo! dobrze się spisałeś — mówił baronet do nie mogącego go słyszeć i rozumieć Eskimosa — śmiałość twoja i zręczność ocaliły ci życie. Ale jaką lichą broń dałeś nam profesorze! Wszystkie strzały chybiły.

— Strzały wprawdzie zawiniły tym razem — odparł profesor — winę tego jednak nie broni, ale nam przypisać wypada; nie strzelaliśmy dość celnie. Zgrzeszyłem nadto brakiem przytomności umysłu, nie pamiętając was uprzedzić, że ta strzelba daje dwadzieścia strzałów z kolei. Szczęściem, że Eskimos sam sobie dał radę bez nas. Oho! musimy się jeszcze wprawiać w strzelaniu z tej broni i w tem oświeceniu.

Idąc za radą profesora, podróżni zaczęli strzelać do celu, nabierając coraz większej wprawy i celności.

Tymczasem żegluga po wąskim i zapchanym lodami kanale, stawała się coraz trudniejszą; wiatr wzmagał się od północy, przynosząc z sobą ostre zimno i gęstą mgłę. Podróżni walczyli wytrwale z temi przeciwnościami, w końcu jednak napór lodów okazał się tak szczelny, że zmuszeni byli wznieść się w powietrze.

(d. c. n.)

*Marya Łopuszańska.*

## OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg)

— Ha! nie, niema w ludzkiej mowie przekleństwa na tych, którzy mi synów zabrali. Geronie, krwawy ty wilku, za moje dzieci, okrutnie pomordowane, postradałeś i ty jedynego syna! Powiedz, słodko ci było gdyś na pobjowisku odszukał skrwawione zwłoki, gdyś rwał włosy i przeklinał? A moje serce, tylu bólami stargane, moje serce, które Nya przemieniła w kamień, drgnęło z rozkoszy, gdyś ty, wrogu mój, cierpiał to, co ja cierpiełem. Lecz nie tyle, tyś jednego tylko syna stracił, a ja w trzech moich zamordowanych, trzy razy to samo przeboleiałem; trzy razy serce się moje rozdzierało!...

I wysiłony, prawie nieprzytomny, padł na ławę, dysząc ciężko.

— Co jest kneziowi? — spytał Ładon po chwili Drahomira. — Kogo tak przeklinał i za co?

— A to na niego często nachodzi — odparł Drahomir również cicho — gdy sobie przypomniał swoich synów, zdra-

dziecko pomordowanych przez Gerona. Mówią jednak, że najbardziej go to trapić poczęło od czasu, gdy mu skradziono ukochanego wnuka po najstarszym synie. Nie pomnę tego, bo sam byłem małym chłopcem wówczas, ale stało się to tutaj, w gródku. Dziecko wybiegło w dolinę, nad potok i zostało skradzione przez kupców niemieckich. Odtąd kneź Odył stał się ponurym jak noc, a niekiedy nachodzi na niego ów obłąd, którego dzisiaj byłeś świadkiem.

Po wyjściu Drahomira, Kurtz zbliżył się do Ładona, drżąc ze strachu, bo postać starego knezia budziła w nim przerażenie. Wkrótce jednak starzec wstał i powlókł się powolnymi krokami z izby na podwórze, kędy zrobił się właśnie ruch, bo straż doniosła, iż ujrano kilku jeźdźców w dolinie.

— Mój Boże, gdzie to ja się dostałem — mówił Kurtz — wszyscy tutaj tacy straszni. Trzeba mi też było tego nie-szczęścia, żeby zbłądzić w puszczy, tak się dostałem w ręce tych okropnych pogan...

— Krzywdy jednak wielkiej wam nie wyrządzili — rzekł Ładon.

— Już oni nie nadarmo mię tutaj uprowadzili — odrzekł Kurtz, trzęsąc głową. Ujrawszy w puszczy gromadę jeźdźców, zbliżyłem się do nich sądząc, że to jakiś oddział kwólewski, a oni wzięli mię natychmiast pomiędzy siebie i gdy ich zapytywałem gdzie mię prowadzą, śmiali się tylko, jakby mnie wcale nie rozumieli.

Tymczasem Ładon dostrzegł przez okno jak otwierano bramę i kilkunastu jeźdźców wjechało na dziedziniec gródka; poznał prawie wszystkich owych starców, których widział w czasie obchodu nocnego na górze Łysej. Między nimi był Masław.

Wszyscy otoczeni byli ludźmi zbrojnymi, a zbliżywszy się do wejścia, przed którem czekał na nich kneź Mszczuj z synem, goście zsiadali z koni i oddawali je pachołkom i powitani przez knezia udawali się do wielkiej izby wehodowej; kneź witał ich u progu, prosząc by zaszli za stołem. Drahomir również nadszedł, stosując się do woli ojca. On i Masław spojrzeli na siebie chmurnie i wyzywająco.

— Przybyliśmy kneziu — ozwał się najpierwszy kapłan Borun, by się naradzić z wami wspólnie, co mamy czynić nadal. Bolesław wyruszył już na wojnę, zajęty jest tam, nad Łabą; godzi się więc korzystać nam z chwili i coś przedsięwziąć.

— Nim rozpoczniemy narady, wprzód wypijemy czarę miodu — rzekł kneź — miód rozgrzewa serce.

Masław siedział wpośród obradujących starców chmurny i zadumany. Otaczający dostrzegli w nim wielką zmianę od czasu jak powrócił z pieczary Rokitki; w obliczu jego czytać się dawała jakaś potęga i pewność zwycięstwa, która nie mogła nie podzielać na innych. Wszyscy też mimowoli podawali się jego wpływowi; stał się teraz rzeczywiście duszą i ramieniem całej sprawy.

W chwili gdy kneź przestał mówić, we drzwiach ukazała się księżniczka Ziezilia, a za nią dwie służebne niosły dzbany z miodem.

Ziezilia nalewała każdemu z obecnych czarę miodu, mówiąc:

— Niech wam bogi dają zdrowie i wiek długi.

Lecz gdy oczy jej spotkały śmiały, pyszny wzrok Masława, drgnęła, jakby za zbliżeniem się ducha ciemności.

— Jakże sądzicie, kneziu — ozwał się jeden ze starców, gdy wyszła Ziezilia — od czego mamy zacząć najpierwej. Powiedzcie, co myślicie?

— Iść na Kielce natychmiast i wypędzić Dobrogosta — rzekł krótko kneź, a gród obsadzić swoimi ludźmi.

— I cóż tam będziemy robili? — zawołał Masław. — Zamknijemy się w grodzie i wezmą nas odrazu, jak niedźwiedzia w ostępie. Nie, to się na nic nie zdało, lud do takiej wojny nie zdolny, ja go znam dobrze. Jedyna wojna, możliwa dla nas, w zaroślach leśnych, w puszczy; dręczyć wciąż przeciwników, szkodzić im na każdym kroku, nie dać im tchnąć, ale samym tak się ukrywać, by nas nawet nie widzieli, oto jak jedynie możemy wojować.



— To chłopska wojna — rzekł kneź chinurnie.

— A my kogo mamy pod ręką, jeśli nie chłopów? — zawołał Masław. Przecie nie mamy, jak Bolesław, rycerstwa, które umie zdobywać grody i twierdze; ten motłoch pogardzony, to cała nasza siła.

— Ale tym sposobem wojna może trwać lata całe, a nie nie tracimy ani też zyskamy — odparł kneź. — Trzeba coś ważyć, by coś mieć.

— Ale gdybyśmy poszli za waszą radą, kneziu — rzekł Masław — odrazu wszystko byłoby stracone, bo zgniecionoby nas ze szczętem. Przedewszystkiem musimy pociągnąć za sobą wszystkich drwali z puszczy, łowców, węglarzy, cieśli, rybaków, kuśnierzy — cały ten lud leśny, który wciąż w puszczach przebywa i dotąd żałuje starej wiary. Wprawdzie mało się oni troszczą o wielkich bogów: Jesse i Żywie, ale nie mogą zapomnieć świętych dębów i zasypanych źródeł świętych, bo te ich sercu najbliższe.

— A jeśli tego pożaru później nie będzie można ugasić — ozwał się jeden ze starców bojaźliwie.

Masław uśmiechnął się szyderczo.

— Kto nic nie waży, ten nic niema, tak wyrzekł kneź Mszczuj — powiedział drwiąco. — Gdy się boicie, to lepiej nie nie rozpoczynać.

— Lud będzie się obawiał Bolesława — ozwał się ktoś z obecnych.

— A czy to Bolesław nie może zginąć na wojnie. Jeśli nam tego będzie potrzeba? — rzekł Masław. — Czy to trudno rozpuścić pogłoskę o jego śmierci, jeśli ta śmierć sama nie domyśli się i nie pospieszy dopomódz nam w zamiarach?

— A gdy Bolesław nagle powróci, to cały motłoch, chcąc uzyskać przebaczenie, zwróci się przeciw nam — wtrącił Drahomir.

— Wtem też rzecz, żeby go tutaj nie puścić — odparł Masław. — Czy to trudno znaleźć sobie silnych sojuszników, gdy i tak potęga jego stworzyła mu już niejednego nieprzyjaciela. Dla czego mamy być wciąż pod wspólnym rządem wraz z Polanami, kiedy ziemia krakowska wpród była osobno; żyją jeszcze ludzie, którzy to pamiętają!

— Więc sądzicie, że lepiej być pod Niemcem lub Czechem, niż pod Bolesławem? — spytał Drahomir, wciąż z ironią. — Jabym sądził, że nam ta zmiana chyba na dobre wyjść nie może...

— Cicho bądź, Drahomirze, rozkazuję ci! — krzyknął kneź Mszczuj surowo. — Niech nie słyszę więcej podobnej mowy.

Drahomir umilkł, ale obaj z Masławem mierzyli się groźnym wzrokiem.

Gwarna narada trwała jeszcze czas jakiś; lecz tylko Masław i kneź Mszczuj gotowi byli śmiało wystąpić, inni tak bali się Bolesława, że nie mogli się zdobyć na żaden krok stanowczy. Czuć było, że nawet w razie, gdyby się plan powiódł, oni nie potrafili nigdy działać śmiało i rzeźwiej. Niektórzy z synów owych starców byli teraz wraz z królem na wojnie, oni też, korzystając z ich nieobecności, ofiarowali swe gródki na schronienie dla pogan. Uradzono przedewszystkiem, że niepodobna dopuścić na zbudowanie klasztoru i osadzenie tam księży, którzyby natychmiast pozyskali wpływ na ludność okoliczną. Gdy już wszyscy zaczęli się zbierać do odjazdu, kneź znów kazał podać miodu.

— Pijmy na Nyę! — zawołał Masław, podnosząc czarę. — Na zgubę wrogom naszym!

Wszyscy naśladowali za nim ów obyczaj starodawny, stosowany niegdyś u Słowian na stypie pogrzebowej, gdy przysięgano zemstę wrogom.

— Na zgubę wrogom naszym! — powtórzył kneź Mszczuj, wychylając czarę.

Tylko jeden Drahomir milczał posepnie.

Przed odjazdem, gdy już reszta gości zaczęła wsiadać na koń, Masław wziął na bok starego knezia i rzekł mu półgłosem ale stanowczo:

— Kneziu, obu nam wyjdzie na dobre gdy za jedno wciąż trzymać będziemy; wy mnie potrzebujecie a ja was. Nie

zawadziłoby więc zawrzeć ściślejsze związki, przezemnie bowiem wszystko możecie zrobić, bezemnie nie. Gdy zaś będziemy razem, nikt nam nie da rady, nawet Bolesław. Ja bowiem mam straszną potęgę w rękę; wiecie, że lud tylko mnie jednego słucha...

— Do czegoż to zmierza? — spytał kneź zimno.

— Oto do tego, kneziu, byście mi oddali waszą dziewczę, tę krasną dziewczę, która miód nalewała. Wtedy ja wam po przysięgnę wieczny sojusznik...

— Ziezilia bogom poświęcona, nie może więc być oddana w małżeństwo, innej zaś dziewczki nie mam — odparł kneź dumnie.

— Wymawiacie się — wybuchnął Masław — dla tego, że wy kneź, a ja z chłopskiej krwi pochodzę! Znam was dobrze, wy dumne plemię, pogardzacie tymi, których macie za niższych od siebie!

— A choćby i tak — odparł kneź wyniosło.

— Ale my mamy zęby — odparł Masław szyderczo. — Strzeżcie się, strzeżcie, powiadam wam, i ty kneziu i ten twój syn dumny, bo kiedyś możecie pożałować żeście nie zrobili tego, czego od was żądałem.

— Gróżb się nie lękam i gardzę niemi, szczególnie gdy z takich ust pochodzą — odrzekł kneź zimno. — Na gróźby znajdują się gróźby, a dziewczkę choćbym mógł nie oddałbym chłopu!

— A ten chłop gardzi wami, wy, plemię pyszałków, i kiedyś przyjdzie może czas, że sami będziecie się ubiegali o związki z nim, ale wtedy on je podepcze nogami, ot tak!

I uderzył nogą w ziemię. Poczem, wypadłszy na podwórze, wskoczył na koń i oddalił się szybko. Reszta gości była już w dolinie i nikt nie wiedział co się przed chwilą odbyło między kneziem a Masławem.

Nazajutrz Ziezila przedła w świetlicy, przy oknie, gdy wszedł Drahomir. Nie wyrzekłszy słowa do siostry, usiadł przy stole, wsparłszy głowę na rękę, pogrążony w ciężkie dумы. Lecz nagle Ziezila wstała z miejsca i stanawszy przed bratem, ozwała się nieśmiało:

— Pozwolisz mi bracie rzec sobie słowo szczerze? Wiem cześć, którą winnam ja, dziewczka, starszemu bratu; zawszem ci była posłuszna i podległa, jako przystoi siostrze. Ale na sercu mi leży sroga troska. Nie mieszam się do tego co czynicie oba z ojcem, boć to nie moja rzecz, lecz powiedz mi: wszak prawda, że chcecie się wiązać z tym Masławem, który był tu wczora? O, nie czyńcie tego, błagam was na bogi wielkie! To człowiek zły, to człowiek przeklęty, on z Czarnobogiem w zmowie, serce mi to powiada. On nam przyniesie nieszczęście, nie słuchajcie jego namów!

— Ziezilo, co ci to? — zawołał Drahomir, wstając. — Co dziewczka ma się mieszać do spraw męskich? Skąd ci to przyszło do głowy? Trzymać będę z tym, kogo ojciec mi wskaże, wszak wiesz, że jego wolą wszystko tu stoi.

— A więc i jego proś, błagaj, niech z nim nie trzyma. Ja nie wiem nic, prócz tego, że on nam przyniesie zgubę!

— Nie mogę nic radzić ani odradzać ojcu, znasz go, że on nikogo nie zwykł słuchać. Gdyby on wiedział o tem, że dziewczki do jego spraw się mieszały!

— O, biada mi, biada — jęknęła Ziezila. — Nikt mię nie słucha, a ja przecież czuję, że wy na zgubę idziecie! O, zlituj się bracie — zawołała nagle, padając mu do nóg — zlituj się sam nad sobą i nademną biedną. Jeden tyś mi pozostał na całym świecie białym, odkąd macierz nasza w mogile, jeden coś mię bronił zawsze przed srogim gniewem ojca, coś mię opieką osłaniał. Bez ciebie cóż ja pocznę nieszczęśliwa? Oto nie nie mam, jako ten świat szeroki, niby ta kalina samotna, miotana wichrem na polu! Z woli ojca zostałam bogom poświęcona, nigdy mi družki weselnej pieśni nie zanucą, nigdy nie przejdę w szczęśliwy dom małżonka, nie opłakana, samotna, z dziewiczym wiankiem na czole w grób się położę. W tobie jednym mam wszystko; jak ta kukulka co po lesie zawodzi, tak ja płaczę teraz u nóg twoich i błagam zmiłowania. Nie darmo, ach, nie darmo nazwaną mię Zie-



zila, nie dla mnie słodka bogini Łado; od lat młodych tylko żalność mi znanal

Złote jej włosy okryły nogi Drahomira, wianek ruciany spadł z głowy, a łzy gorące oblewały stopy brata. Młody kneź uczuł, że jego bohaterskie serce mięknie od tych łez; podniósł siostrę z ziemi, usiłując ją pocieszyć i ukoić. Białe ramiona oplatały go, niby wiotkie gałęzie powoju, owijające dąb potężny; gdy burze dąb zwały, pozostanie mu przynajmniej sława, że był kiedyś najpiękniejszym i najdumniejszym w puszczy; może wysmukłe brzozy zapłaczą po nim chórem; lecz cóż się stanie z powojem?

(d. c. n.)

## NOWE KSIĄŻKI

Nadesłane do redakcyi Wieczorów.

### Dla dorosłych.

**Na Kresach lasów.** Powieść, *Wacław Sieroszewski* (Sirko).

**Słowa Święte**, pełne Boskiej mądrości w naukach, odpowiedziach, przypowieściach i przepowiedniach Pana naszego Jezusa Chrystusa z pism Ewangelistów, wybrane przez *Józefa Karpińskiego*. Książka ta aprobowana przez J. E. ks. arcybiskupa warszawskiego, zawiera wszystkie słowa Pana Jezusa w Ewangeliach przytoczone, z objaśnieniami gdzie, kiedy i w jakich okolicznościach wypowiedziane zostały.

**Podręcznik dla ochronek** do użytku wychowawczyń i matek chrześcijańskich. Niezmiernie pożyteczna książka dla wychowania i kształcenia małych dzieci.

**Metoda poglądowa** buchalteryi amerykańskiej przez *K. Jakobsona*.

**Ze Starego Autoramentu.** Typy i obrazki wołyńskie przez *Józefa Dunina Karwiczkiego*.

**W złocie** przez *Stańkę*, powieść dla dorosłych.

**Włościańskie stowarzyszenia rolnicze** przez *M. Malinowskiego*.

**O kupnie gruntów**, wiadomości praktyczne, prawne przez *Stefana Holewińskiego*.

**Pan Gamajda**, czyli wybory na wójta przez *Klemensa Junoszę*.

### Dla młodzieży.

**Adam Mickiewicz.** Upominek jubileuszowy.

**O morzach i ładach** opowiedział *M. Brzeziński*.

**Z życia ludzi i zwierząt.**

**Doczekali**, powieść z dziejów Serbii przez *Teresę Jadwigę*.

**Samouczek**, metody polsko francuskiej *Reusnera* zeszyt VI.

**Krótki składnia języka polskiego** łącznie z zasadami użycia znaków pisarskich, ułożył, *Wł. Kokowski*.

**Tegoż: Krótka Entymologia języka polskiego.**

## ZE ŚWIATA.

Czarna lwica. — Jubileusz depeszy. — Walka pająka z osą.

W paryskim „Jardin des plantes” podziwiają obecnie zwiedzający niezwykle okaz lwiego rodu. Mianowicie z Timbaktu przywieziono czarną lwicę, znalezioną w oddaleniu 200 kilometrów od Timbaktu, w głębi puszczy. Jest to nader rzadki okaz, od czasu do czasu spotykany w Saharze. Lwica liczy 4 miesiące życia, karmi ją mlekiem i pieczonem mięsem.

Dnia 29 sierpnia r. b. minęło lat 40 od wysłania pierwszej depeszy przez ocean Atlantycki. Okręt angielski „Agamemnon” zetknął się w dniu 29 lipca 1853 roku na pełnym oceanie z amerykańskim okrętem „Niagara” i wówczas połączone zostały dwa końce drucianej liny podmorskiej. W d. 29 sierpnia jednak przesłała dopiero pierwszą depeszę królowa angielska Wiktoria, do prezydenta Binchamana. Nowy ten drut przetrwał zaledwie dwa tygodnie, przerwał się i pogryzł w głębiach morskich. Dopiero w roku 1866 przeprowadził okręt „Great Eastern” stałą linię podmorską pod oceanem Atlantyckim.

Ciekawy przykład walki pająka z osą opisuje pewien badacz. Pająk siedział najspokojniej w swej sieci, gdy wleciała w nią wielka osa; w tej chwili zerwał się z miejsca, rzucił w bok, przebiegł nad nią ze strony tylnej i zdaleka zarzucił nić, która, niby lasso, oplątała jedną z nóg osy. Po spełnieniu tego cofnął się i pozostał w położeniu wyczekującym.

Osa usiłowała się tymczasem uwolnić z tych pęt i gdy prawie jej się to już udało, pająk znów się zbliżył i nowe lasso zarzucił, poczem oddalił się, wyczekując z napiętą uwagą. Po chwili począł biegać w około osy, oplątując ją wielu zwojami nici, lecz wciąż trzymając się od niej w pewnem oddaleniu.

Gdy zaś owad przerwał na chwilę swe szamotanie, wówczas skorzystał z odpowiedniej okazji, rzucił się na osę i począł ją już owijać swemi niemi dokładnie, zbliżając. Po upływie niecałej minuty, osa wyglądała już jak poczwarka w kokonie; pająk jednak chodził w około niej, oplątując ją w dalszym ciągu i przerwał swą pracę dopiero wówczas, kiedy mógł się w zupełności uspokoić, albowiem z pod białoszarego pokrycia wcale już osy widać nie było.

### PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie złr. 1 cent. 75 (3 $\frac{1}{2}$  korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Biały anioł (rycina). — Na dzień zaduszny, wiersz. — Bez przewodnika — Sto lat temu nad Nilem (z ryc.) — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby,” opisał H. C. — Obrońcy bogów, przez M. Kopuszańską. — Nowe książki. — Ze świata. **Dodatek:** Alabastrowa czara (z ryc.) — Tydzień, wiersz. — Nieproszeni goście. — Dług wdzięczności, przez Zofię Rudnicką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Wspomnienia Haliny, przez Julię Piasecką.



## ALABASTROWA CZARA.

W posępny dzień jesienny gromadka dzieci, siedząc koło kominka rozmawiała poważnie. Najstarsza dziewczynka przypominała słowa z Ewangelii, słyszanej rano w kościele o niewieście, która stłukła alabastrową czarę i wylała z niej wonny olejek na głowę Chrystusa Pana; a gdy uczniowie Pańscy zarzucali jej marnotrawstwo, Chrystus rzekł: Dajcie pokój, czemu jej przykrość czynicie? Dobry uczynek przeciwko mnie uczyniła.

(Ew. św. Marka roz. 14).



— Jakżebym i ja podobną ofiarę pragnęła zrobić dla Chrystusa Pana! — zawołała druga ze starszych dziewczynek — ale czyż to możliwe!

— To niemożliwe, bo przecie Pan Jezus nie pokazuje się już ludziom na ziemi, tłumaczył jej brat przekonująco.

Mimo tego serce dziewczynki przejęte było gotowością ofiary dla Chrystusa, i wciąż myślała o puszcze z drogocennymi wonnościami, zebranymi przez niewiastę z Ewangelii, a pod wpływem tych myśli miała jednego razu sen niezwykle:

Szła drogą wyłożoną różnokolorowymi kamieniami. Na jednym z kamieni dużymi literami wypisana była

„miłość”, na drugim „wiara,” na innym „dobroć,” to znowu „posłuszeństwo,” „cierpliwość,” „prawda” i t. p. a ona wiedziała jakie kamyki wybierać powinna i po jakich ma stąpać. Na samym końcu drogi zielenił się wspaniały ogród, pełen najpiękniejszych kwiatów, kielich każdego kwiatu zawierał kropelkę cudownie woniejącego balsamu. Pośrodku ogrodu, na złocistym słupku stała czara alabastrowa, misternie rzeźbiona, a ścieżką opodal szedł anioł srebrno-pióry. I rzecz niepojęta! owego anioła z kwiecistego ogrodu i dziewczynką idącą po kamienistej drodze łączyły cienkie, delikatne, jak włókna pajęczyste struny srebrzyste.

Szła tak długo, bardzo długo, w tem posłyszała głosik dziecinnny: — Pomóż mi wejść na ten duży kamień! —

Była to jej mała siostrzyczka, usiłująca nadaremnie przejść dróżkę, na której leżał duży kamień. Dziewczynka natychmiast wyciągnęła ku niej ręce, a gdy tak spieszyła z pomocą siostrzyczce, struna łącząca ją z aniołem zadzwieczała słodko i anioł, zerwawszy jeden z kwiatów, zebraną z niego kroplę wonności spuścił do czary alabastrowej. Potem matka jej odezwała się: — Moje dziecko, jestem bardzo zmęczoną, niech się wesprę na tobie. Dziewczynka skwapliwie nadstawiła ramię, na którym matka znalazła oparcie i znowu zadrgała srebrzysta struna, znowu kwiat przez anioła został zerwany i kropła balsamu przelana do czary. Powtarzało się to za każdym dobrym postępkiem dziewczynki i tylko gdy przypadkiem upływały dni bez żadnej z jej strony zasługi, twarz anioła bladła i powlekła się smutkiem.

We śnie lata szybko mijają, niby krótkie chwilki; dziewczynka tedy ujrzała się na owej drodze dorosłą, dążącą wytrwale do zamierzonego celu, a anioł zbierał wciąż kwiaty jej zasług i sączył z nich krople do czary, aż w końcu dziewczynka przemieniona w sędziwą staruszkę, stanęła u furtki ogrodu. Gdy ją otwierała, wszystkie struny łączące ją z aniołem stróżem poraz ostatni zadzwieczały cudowną melodyą, a w ogrodzie oczekiwał na nią drugi anioł i wchodzącą powitał radośnie.

— Kto jesteś duchu przeczysty? pytała dziewczynka - staruszka.

— Jestem cnotliwą duszą twoją — odparł anioł — uświęconą gotowością do ofiar, pragnieniem uczczenia Chrystusa wonnościami zebranymi w alabastrowej czarze.

— Niestety, tej czary nie posiadam jeszcze — żaliła się staruszka.

Anioł wskazał jej wtedy stojącą na złocistym słupku czarę pełną balsamicznych woni, zebranych po kropelce z kwiatów jej dobrych uczynków, a gdy dziewczynka - staruszka ujęła ją w dłonie, dusza jej w postaci anioła zajaśniała blaskiem nieśmiertelnej młodości i piękności.



## TY DZIEŃ.

Pamiętaj mały mój synku:  
Niedziela — dzień odpoczynku!  
Poniedziałek, gdy zaświta,  
Niech go każdy pracą wita.  
I ty synu, chociaż mały,  
Pracuj pilnie dzionek cały.  
Trzeci z rzędu idzie wtorek,  
Jeśli chcesz mieć pełen worek,  
Ucz się pilnie, bądź ochoczy,  
Bo i to dzionek roboczy.  
Środa, czwartek, piątek idzie,  
Żyć jeżeli nie chcesz w biedzie,  
Gdy się dzielić chcesz z rodziną,  
Niech ci marnie dni nie płyną,  
Niech twe serce kocha, czuje —  
Niech myśl, ręka twa pracuje!  
Zbliża się wreszcie sobota,  
Kończy się w wieczór robota,  
A nazajutrz znowu czeka  
Odpoczynek dla człowieka.

## NIEPROSZENI GOŚCIE.



Do rzędu nieproszonych i bardzo nawet nieproszonych gości należy bezwątpienia pchła, musimy więc i o niej wspomnieć z kolei, zwłaszcza, że jest nader natrętną w swych odwiedzinach, choć naturalnie za przedmiot do rozmowy służy bardzo rzadko.

Małe to jest i niepozorne stworzenie, a jednak zręczniejsze daleko od najlepiej wyćwiczonych akrobaty. Gdyby człowiek skakał tak zręcznie jak pchła, mógłby przeskoczyć dużą kamienicę. Nie wierzycie? A jednak tak jest, bo pchła robi 1000 razy większe skoki niż długość jej ciała wynosi. I to jej szczęście, bo czemby się obronić mogła? Skrzydeł niema, uciekać też prędko nie potrafi, wyginęłaby już oddawna.

A przecież i ona jest żywym stworzeniem i ona chciałaby żyć trochę na świecie.

Wie dobrze, że człowiek jest jej największym nieprzyjacielem, więc stara się nie wchodzić mu w drogę. Mieszka sobie skromniutko w szparach podłogi, w dywanach, w meblach lub w ubraniu ludzkim. Trzeba przyznać, że to ostatnie mieszkanie najwięcej się jej podoba, bo tam i ciepło i miękko i pożywienie blisko. Ale do człowieka wtedy tylko się zbliża, gdy jest dorosłą, bo małe nie mogą jeszcze do niego się dostać.

Wyszedłszy z jajka, pchła mieszka w ciemnym zakurzonem kącie za szafą i wygląda wtedy jak mały ciemny robaczek z jasnymi oczami. U spodu ma malutkie

szczecinki, które zastępują jej nóżki, a że sama jest bardzo małą, więc przy ich pomocy z łatwością może biegać po ziemi. Ona by i na środek pokoju wybiegła, ale taki już zwyczaj u pcheł, że z ciemnego kąta wydostać się im nie wolno.

Matki nie opiekują się dziećmi, więc młoda liszka musi sama szukać sobie pożywienia. Przy ścianie znajduje usniętą muchę, to jej na długo starczy, później żywi się odrobiną chleba i jakoś tam ośm dni przeżyje. Potem owinie się pajęczynką, którą z siebie wysnuje, zamieni się w poczwarkę i uśnie.

Jedenaście dni spała, a tak mocno, że nie czuła jak w ciele jej utworzyły się trzy części: główka, piersi i odwłok; jak jej sześć nóżek urosło, z których jedna para jest bardzo silną, i jak cała przybrała barwę ciemno-brązową, połyskującą.

Aż nareszcie skórka poczwarki pękła! żywa i wesola pchła wyskoczyła, dziwiąc się, że taką jest inną niż dawniej.

Ciemny kąt stał się już dla niej niewłaściwy. Dosyć już miała kurzu i złej strawy, więc skierowała się do słonecznego pokoju i zawędrowała do łóżeczka małej Jani.

I dobrze byłoby tym stworzonkom na świecie, gdyby ludzie nie stawiali im na przeszkodzie. Wprowadzili oni zwyczaj wysypywania szpar w łózkach proszkiem perskim.

Jakże to można! to zabójczy zapach dla pcheł. Inni znowu wszystko trzepią i czyszczą: ubranie, meble, dywany, pościel, gdzie wobec tego biedne pchły mogą się ukryć?

Nie dość na tem są i tacy co uwzięli się wymiatać kurze ze wszystkich kątów.

— Zrozumieście moi państwo — myśli zapewne pchła — jakie to barbarzyństwo! Gdzież będziemy składały nasze jajka, czem będą się żywiły nasze dzieci? Na szczęście, nie wszystkie gospodynie są takie porządne, więc sędzę, że nasz ród nie wyginie.

Dodać trzeba, że pchły są bardzo zmyślne i nadają się do tresowania. Od czasu do czasu przejeżdżają po miastach przedsiębiorcy i pokazują różne ćwiczenia tych malutkich owadów. Winszujemy im cierpliwości.

Marya Weryho.

## DŁUG WODZIĘCZNOŚCI

przez

Zofię Rudnicką.

(Dalszy ciąg)

— Już mi się teraz moje kajdany lżejszemi wydawać będą — mówił Skalka.

Wiosna mijała — przyszło gorące lato. Janka zalewał pot kroplisty przy pracy i nieraz myślał, że gdyby nie litościwe serce tej dobrej dziewczynki, która go wyswobodziła z kajdan, byłby zginął z utrudzenia. Nieraz też myślał z tęsknotą, jakiby był szczęśliwy, gdyby mógł ją



jeszcze raz zobaczyć; ale dozorczyńni dobrze ją strzegła. Upływały mu dni jednostajne, nużące — nie wiele mógł nawet rozmawiać ze swoim towarzyszem; bo gdy się schodzili na nocleg, tak byli znużeni pracą całodzienną, że zaledwie słów kilka zamieniwszy, usypiali snem twardym. Rok już minął od chwili, gdy Janek przez Tata-rów został porwany... Czyż dziadek mój żyje jeszcze? Biedna matka wypłakała oczy za mną — Hania pewnie nieraz także płacze — a ja nawet donieść im nie mogę, co się ze mną dzieje... może i lepiej, że nie wiedzą — serca by im pękły z żalu". Tak nieraz myślał Janek — bo nigdy — nigdy tęsknota za swoimi, nie schodziła mu z serca.

Raz modląc się w południe, zawołał półgłosem:

— O Boże, kiedy już, kiedy powrócisz mnie do kraju, do mojej rodziny! Wszakże ja jestem ostatni z rodu: niech nie ginę marnie w niewoli tureckiej.

Gdy domawiał słów ostatnich, rozchyliły się gałęzie osłaniające go przed skwarem i ukazała się wśród nich głowa w turbanie tureckim, ale Janek po skośnych oczach, patrzących z pod tego turbanu, poznał Tata-ra. Zadrżał, myśląc, że głośna jego modlitwa wywołała we wrogu oburzenie, że nielitośnie skarci go ten barbarzy-niec, — a niema już Zulejki, by wstrzymała bolesny cios zawieszony nad jego głową. Lecz jakież było jego zdziwie-nie, gdy Tatar postąpił krok bliżej i stanął przy nim nie okazując gniewu, przeciwnie jakies miękkie uczucie lito-ści odbiło się na jego oliwkowej twarzy... O dziwo! Tatar przemówił po polsku — językiem złamanym, ale przecie zrozumiałym dla Janka. Biedny chłopiec tak niespodzie-wanie uderzony dźwiękiem mowy rodzinnej, rzucił się do nóg Tata-ra, objął je i na głos się rozplakał. Tatar podniósł go, — uważnie popatrzył mu w twarz, i zapytał:

— Skąd jesteś? Jak się nazywasz?

Janek drżąc na całym ciecie, jak listek osiny, odpo-wiedział przecie wyraźnie.

— Jestem z Polski — nazywam się Jan Sęp.

Tatarowi mignęły w oczach jakies dziwne blaski, cwi-ściągnął — coś przypominał sobie.

— Ojciec twój jak się nazywa?

— Ojciec mój dawno nie żyje — nazywał się An-rzej.

Tatar wznosił ręce do góry. — O Ałlach! Ałlach! Ałlach! — wykrzyknął po trzykroć. Ałlach postawił cię a mojej drodze, bym spłacił dług wdzięczności...

Po chwili znowu ściągnął brwi — coś ważył w my-lach.

— W jaki sposób dostałeś się do niewoli? — zapy-ał niespokojnie.

Janek opowiedział zwięźle losy swego porwania.

— Dzięki ci, Ałlachu! Ukradziony, może więc też yć odkradziony.

Janek stał osłupiały, nie rozumiejąc znaczenia ostat-ich słów Tata-ra. Ten zwrócił się do niego i rzekł:

— Idź do swojej roboty, Ałlach cię wysłuchał, jutro o tej samej porze przyjdę tu do ciebie. Rozchylił gałę-ie i wyszedł z pod drzewa. Po chwili świst przeraźli-wej piszczalki wezwał niewolników do pracy. Janek był tak wzruszony całym tem zajściem z nieznanym Tata-rem, tak zdziwiony, że nie otrzymał od niego razów

lub klątwy, lecz łagodne, dobre słowa, których nie poj-mował jeszcze dokładnie, ale które przecie przyniosły mu jakies ukojenie — że jak nieprzytomny jął się pracy. Co chwila stawał, taki czuł chaos myśli, których rozplą-tać nie mógł. Od dnia, gdy za wstawieniem się Zulejki, ukochanej córki baszy, (bo nie wątpił, że ona to sprawiła), kajdany opadły z nóg jego, był jakby pod wyjątkową, niewidzialną opieką; bo od tej pory, żaden dozorca nie podniósł nawet bata na niego. I teraz właśnie, kiedy ważył w swej głowie słowa słyszane przed godziną, i przystanął, trzymając w ręku taczki ciężkie, pełne wil-gotnej gliny i ziemi, przeszedł obok niego dozorca, od-wracając głowę na bok, żeby mógł go niby nie widzieć. Janek ocknął się, zrozumiał doniosłość jakiejś tajemni-czej opieki nad sobą — i wyszeptał:

— Bóg dobrotliwy otoczył mnie swoimi aniołami, matka mi tę łaskę wymodliła — oni mnie strzegą, na swoich rękach piastują i nie dają nic złego zrobić, a ja niewdzięczny, tyle razy upadałem na duchu, tyle łez gorzkich wylałem; traciłem cierpliwość... i nadzieję!

Jął się znowu pracy z nową siłą, która wstąpiła weń z przekonaniem, że Bóg wysłuchał modłów matki jego i ma go w widocznej swej pieczy.

Nazajutrz Tatar stawiał się na słowo i zaledwie Ja-nek odmówił pierwszą modlitwę pod zieloną kopułą swe-go kościoła, gałęzie rozchyliły się jak wczoraj i Tatar stanął przed nim.

— Słuchaj — przemówił bez żadnego wstępu — przyszła chwila twego uwolnienia — ale potrzeba ci ze-brać się na wielką odwagę.

Janek wyprostował się — odbłask dumy strzelił mu z oczu.

— Z dziada pradziada nie znaleźmy braku odwagi — i ja go w żadnej okoliczności nie znam.

— Ojciec twój obdarował mię wolnością przed laty...

— Ach, to ty? — przerwał mu Janek zdumiony — toś ty ten jeniec, o którym mi tyle opowiadano; tak ko-chający swoje stopy, a taki wierny swojemu słowu.

— Tak, to ja byłem uwolniony przez twego ojca, i dziś Ałlach stawia ciebie na mojej drodze po to, bym spłacił dług wdzięczności.

— Jesteś tu panem? tyś basza? — wykrzyknął ura-dowany chłopak.

— Nie, jestem jednym z pierwszych sług jego. Wykradnę cię, ułatwię ucieczkę — ale i ty musisz dopo-módz mi w tem własną roztropnością i odwagą.

Jankowi oczy zaświeciły radością. — O Boże, dzięki Ci! — zawołał wzruszony. — Lecz po chwili posmutniał.

— Co ci? — zapytał Tatar.

Janek oczy spuścił i stał milezący.

— Co ci to? — powtórzył Tatar niecierpliwie.

— Czyż mogę wracać do swoich, bez wiadomości obecnego pana mego? Krzywdzić go przez to? Wszak i ty nie chciałeś wówczas uciekać samowolnie, by nie skrzywdzić mego ojca.

— Ja byłem prawowitą jego własnością, bo jeńcem wojennym; ojciec twój, zdobył mnie, narażając życie swoje! — tyś niewolnikiem ukradzionym — przehandlo-wanym — Ałlach chce twojej wolności, gdy mnie tu



sprowadził. Słuchaj i czyni co ci rozkażę. Nastają teraz nocy ciemne — dziś, jutro — może za kilka dni — może za tydzień, tego stanowczo powiedzieć nie mogę, w chwili gdy dozorca będą zapędzać niewolników na noc, zrobi się między nimi hałas, zgiełk, jakaś niby kłótnia; — dozorca stojący u wejścia, zwróci się naturalnie w stronę tego krzyku, by się przekonać o przyczynie zajścia; ty w tej chwili wymknij się i zamiast wejść we drzwi podziemia, przyciśnij się do muru, potem cicho posuwaj się wzdłuż kamieni — nadsłuchując czy cię nie nawołują — to jest, czy dozorca nie spostrzegł, że cię niema na miejscu; gdyby się to stało, wróć jak najprędzej, tłómacząc jak bądź swe spóźnienie; jeżeli nic nie przerwie ciszy, to posuwaj się ciągle pod murem aż do miejsca, gdzie rośnie tamaryks, wsuń się pod jego gęste gałęzie i tam stój cicho, bez szmeru; choćby wtedy wołano, nie odzywaj się, czekaj! Ten, który przyjdzie po ciebie, zarządzi dalszą twoją ucieczkę! Nie obawiaj się go — to będzie syn mój, do którego tak tęskniłem w niewoli.

Rzekłszy to, odszedł spiesźnie.

Janek pozostał na miejscu zdumiony, szczęśliwy — w głowie mu szumiało.

(d. c. n.)

## SZARADA.

Ułożył Aleksander W.

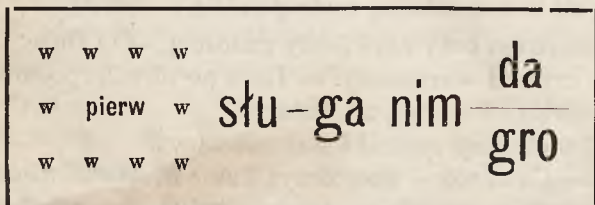
Że *pierwsze* znaczną rzeką, geografia uczy,  
Drugie wspak, gdy nam praca lub upał dokuczy  
Oblewa czoła nasze. A znów *wszystko* razem  
Wprost, czyli wspak czytane jest zawsze obrazem,  
Ogólnego zniszczenia, jak biblia wskazuje,  
U nas zaś bardzo znana powieść opisuje.

## PROZA DO PRZEROBIENIA NA WERSZE.

Dżdżysta już jesień, liść spada z drzewa, nie śpiewa ptaszek w nagich gałęziach. Jak stracone marnie dni młodości, zwarzone szronem liście pod stopą. Kruche, a wiotkie suche, bezbarwne, po lesie ciemnym niesie wiatr płochy.

## REBUSIK.

ułożył A. W.



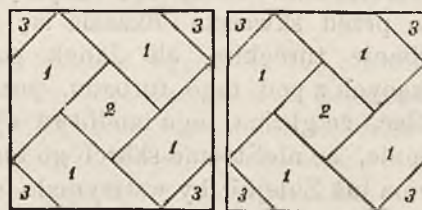
## ROZWIĄZANIA DO N-ru 42.

Szarady: Li — te — ra — tu — ra.

## Łamigłówki kryształowej:

K  
K o t  
M u c h a  
M e c h l i n  
Z o r o a s t e r  
K o c h a n o w s k i  
K l o n o w i c z  
F r o w a r d  
P a s e k  
O k o  
i

## Łamigłówki geometrycznej:



## Skrzynka do listów.

Pani C. Odpowiedź pocztą wkrótce szanownej pani wysłamy.

Kotce posyłamy żądane dodatki, a na dłuższe listy chętnie dłuższe odpowiedzi dawać będziemy.

Figlarnemu chłopczykowi za serdeczne wyrazy dziękujemy, cieszymy się bardzo, że czytanie *Wieczorów* sprawia ci tyle przyjemności. Nie wątpimy, że w położeniu Janka, bohatera „Długu wdzięczności” okazałbyś się równie dzielny i zacny chłopcem. Druga część „Latającej ryby,” stanowiąca całość odrębną, drukowaną będzie w roku przyszłym.

Dobre rozwiązania zadań i łamigłówek przysłali: Marya K., Złota rybka, Ignas i Kasia B., Czarna wiewiórka, Sęp, Helenka Z., Józio Ch., Staś L. i Alina M.

Pocziwa moja Kurko z Polesia jakim miłym i serdecznym obdarzyłaś mnie listkiem! Dziękuję ci bardzo za przyjazne wyrazy i choć nieznajoma, przyjaźni twoją cenę i odpłacam ci się wzajemnością. Zagubiony numer *Wieczorów* wysłamy. Na wypadanie włosów pomaga dość skutecznie wcieranie araku lub koniaku i zdaje się, że żaden z tych środków nie wpływa na kolor włosów. Przedewszystkiem jednak należy dbać o ogólny stan zdrowia, unikać zmęczenia, aż do zapotnienia głowy, wielkiej ilości śpilek, zawiązywania włosów plecionką, mocnego przytwardzania grzebieniami, silnego czesania, nieuważnego wrywania, spełniając te warunki, włosy pozostaną długie, i obfite. Po recepcie poświęcam kawałek miejsca na przesłanie ci serdecznych wyrazów, z prośbą, byś wkrótce nowym listem obdarzyć chciała przyjazną ci

Jaskółkę.